

BŁUSZCZ.

PISMO TYGODNIOWE ILUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rs. 10.

Wydawca **MICHAŁ GLÜCKSBURG**

EKSPEDYCJA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Włodzimierska Nr. 4.

W Cesarstwie Austrjackiem we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80.

W Krakowie: u D. E. Friedleina; kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół. kwartal. 5 marek.



HENRYK SIENKIEWICZ.

ARTYSTA.

Gdyby mi na jednym listku Bluszczu kazano opisać wspaniałą czarę etruską pełną falernu, lub ów kielich cudowny ze szczytów Mont-Trésor, lub puchar rzeźbiony w mistrzowskie arabeski dłoń Behwenuta, którym królowie spijały zdrowie renesansowych ideałów,—nie! jaby mi się tego nie podjęła na jednym listku Bluszczu. A gdzieżbym pomieściła dzieje trudnej roboty tych arcydzieł, ich cel, istotę źródła, jaki się w nich pieni i szumi, ku jakiej służą ofierze, do jakiego należą kultu, czem upoić mają ludzkie pragnienia, jaka tam na ich dnie osiada gorycz, jak się w ich głębi mieszają pierwiastki życia, duszy, sławy, prawdy, uniesień, cierpień i walk musujących odwiecznie w amforze doczesnego żywota?—Ja na jednym listku Bluszczu mogłabym tylko opowiedzieć moje zewnętrzne artystyczne wrażenie i na poparcie go przypomnieć kilka szczegółów z cudnej roboty dzieła sztuki.

Takie samo jest moje położenie wobec imienia wielkiego pisarza, który w roku bieżącym jubileusz swój święcił, i wobec jednego listka Bluszczu, na którym mam wszystko pomieścić. Nie wszystko... Wprawdzie! Słowacki ongi całe serce swoje owijał w jeden tylko liść aloesu, mnie jednak jeden liść Bluszczu nie wystarczy na objęcie duszy Sienkiewicza; więc nie dotknę tej czary szczegółowo, nie będę śledziła dróg jej rozwoju, jej ogólnych celów, jej dążeń, nie będę rozbrajała bujnego źródła, jaki w niej kipi, ani pytać o bogów, w które wierzy, jaki kult wyznaje, czem upoić chce ludzkość, z czego powstała wielka w niej prawda i wielka gorycz, i jak to wyciosała sobie w niej łożysko bezustanna walka doczesnego żywota.

Nie. Ja tylko jednej dotknę struny, wezmę tylko jeden akord z całości, tylko ów arabesk mistrzowski na zewnętrznej stronie pucharu, tylko artystyczne wrażenie dzieł utalentowanego pisarza. Przypomnę tu naszym czytelnikom nie nowelistę, nie powieściopisarza historycznego, nie psychologa, lecz tylko artystę, który może właśnie jako taki najdobitniej, najdokładniej zarysował się na tle literatury współczesnej. A Sienkiewicz ma właśnie wszystkie dane na artystę: niesłychaną wrażliwość na rzeczy wielkie i na rzeczy w życiu mikroskopijne, które każdy czuje a nie każdy spostrzeże i wyrazić jest zdolny; wielką lotność wyobraźni łączącej z dziwną zręcznością pojęcia i przedmioty bardzo oddalone, a jednak w danym porównaniu wyborne; błyskawiczną jasność w fotografowaniu typowości ludzkich, światowych, psychologicznych; i jedyną w swoim rodzaju treściwość, z jaką rzuca obraz danego typu chwili, czy wypadku; dalej jako prawdziwy artysta lubuje się w pięknie, czy to przyrody, czy sztuki, czy ludzkiej duszy, czy ludzkiej twarzy, i umie to piękno wyszukać, przeczuć gdzie go nie widać, „wyczuć“ gdzie jest ukryte. A dalej ma fantastyczną brawurę właściwą tylko umysłom bardzo ruchliwym, zawadycką butę siedzącego w nim malarza, rozmach tkwiącego w nim rzeźbiarza, mimozową drażliwość muzyka i włóczęgo wską żyłkę cygana, czyli—artysty, bo to prawie jedno.

Z takimi zasobami w piersiach trudno przecie na miejscu usiedzieć, więc wszystkie te żywioły pchają go w nieustanny ruch, w ciągłą wędrówkę, w nieutulony pęd po gościńcach świata w nieskończoność, i artystyczny ten cygan zmienia stolice i krajobrazy, gnany żądzą wrażeń i wewnętrznym płomieniem tworzenia, spada z bicykla, żeby wsiąść na wielbłąda, z dromadera przenosi się na konia, z konia na parowiec, na zakopański wózek, i tym błyskawicznym pociągami objężdża wciąż naokoło swojej głowy, swojej wyobraźni, aż przychodzi chwila natężenia, która go przytrzymuje na miejscu,

wtedy Sienkiewicz przesiada się na swoje pióro i pędzi na nim lotem strzały, może za prędko, bo owa brawura i rozmach obok drażliwości nie dają mu usiedzieć długo nad jednym, co ściślej opracowane byłoby może jeszcze piękniejsze. A zresztą, kto wie, nie byłoby może takie gorące.

Te przymioty artysty spotykamy rozsiępane po wszystkich jego pracach, a każda prawie z postaci główniejszych ma swoją chwilę artystowską. Do takich chwil należą przedewszystkiem różne śmierci w dziełach Sienkiewicza. Wszak pamiętacie? Śmierć Lilian, śmierć pod ślepiami Jamniola, śmierć Podbipięty, Wołodyjowskiego, Radziwiłła, Anielki, Lidki, Petroniusza i Eunice, Nerona, Chilona i szereg innych.

Tutaj pracował, cyzelował, malował, rzeźbił artysta sam, nie oglądając się na nic, to były jego obrazy wypieszczone, któremi się lubował powoli, dawał im dojrzewać w złotym ogniu artystycznej miary tak jak w słońcu dochodzi swej barwy i słodyczy owoc szlachetnego szczerpu. Do takich artystycznych scen należą dalej momenty psychologiczne, które też każdy niemal z typów posiada, w którym zaznaczają się główne rysy danego charakteru. Więc Oleńka będzie wołała skoczyc w ogień kominka przed zuchwałstwem napastnika, Baśka będzie sobie powtarzała w chwili najsroźszej boleści: „Nic to, Basiu...“ Płoszowski do ogromu win swoich dodawszy nową, rozgrzeszy się świetnym wyrażeniem egoisty: „Niech i ta szpileczka tkwi w mojem sumieniu,“ Połaniecki nie zrozumiawszy swej szlachetnej żony, powie jej: „oj dziecko, dziecko,“ w chwili kiedy ona jest dojrzalszą ludzko i społecznie od niego, który miewa naprzemian mistrzowsko kreślone paroksyzmy trywialnego upadku i zgryzot wewnętrznych, które nie są żalem za grzechy lecz niesmakiem, jaki sprawia źle przetrawiony występki; więc Maszkowa powie w danej chwili tylko „nie wypada,“ a w ważnej nie powie, i to właśnie najwymowniejsze u niej i pełno takich dotknięć artystycznych, które zostawiają silny i błyszczący ślad po sobie, jak dotknięcie dyamentu po szkle.

A dalej owe obrazy, owe pejzaże poroziświatne w dziełach Sienkiewicza. Musicie pamiętać? Wodospad i kwiatów kaskady, o których Lilian mówiła „Czy to prawda?“, owa wiosna na stepie z kwitnącymi wiśniami, ów spacer księżycowy w Karlsbadzie, Sfinks, obraz pustyni, wieczór letni w Krzemieniu, i te wszystkie, po malarsku odczute, mgły, słoty, blaski, półcienie, symbole ducha w przyrodzie, wrzawy i szepty, które tylko słyszy ucho prawdziwego artysty i wielbi ciela natury.

I ta bezustanna, jak z mora zjawiająca się przed oczy artysty—śmierć, poetycznie, fantastycznie brana, po ludzku nierozwiązalna nigdy, szarpana to sceptycyzmem bez dogmatu, to obojętnością pozorną, to przyjmowana kornie z wiarą bezdenną, to przewidywana ze strachem lub na poły z rezygnacją takiej połowicznej wiary Połanieckiego, i nakoniec ta osobiwa sztuka dawania szkiców ludzkich a jednak tak dosadnych, tak rzeczywistych, że jest to rzucony od pełnego obrazu człowieka cień jego, jego własny, ale tak ogólny, że jest tylko szkicem, a jednak nie weźmie go się za kogo innego.

Takich szkiców ludzkich jest wiele; jak np. sylwetka owego głuchego rzeźbiarza, doktora „o złotem sercu i złotych okularach,“ Bigiela, Świrskiego i innych. Gdyby Sienkiewicz był malarzem, muzykiem, rzeźbiarzem, ten sam artysta tkwiłby w nim zawsze, bo po za talentem jest to artystyczna natura, złożona bardzo, wrażliwa, zdolna wyrazić to co chce i jak chce, lecz zdolna też ukryć co chce, zmienić, przetworzyć, przeinaczyć po swojemu rzeczywistość, tak, że na dnie dzieła nikt nie spostrzeże pierwszego wrażenia zewnętrznego które pomysł i sam szkielec rzeczy wywołało.

Artysta ten boryka się często w głębi duszy autora z człowiekiem, który nie zawsze bywa i nie zawsze być może artystycznym, wtedy powstają owe tak dosadnie kreślone starcia zwi-

rza i ducha, gruboskórca ze światowcem, egoisty z dobrem sercem, trywialnego parweniusza z wytworną duszą szlachetnego człowieka. Starcia, te z zamiłowaniem kreślone, są tak liczne, że już nie tylko są ustępami w całości, lecz treścią całych dzieł, które przecie znacie dobrze i które czytacie od czasu do czasu, bo właśnie ta artystyczna strona prac autora jest przyczyną, że coś do nich ciągnie i z przyjemnością odczytują się te rzeczy na nowo. Umie autor i po artystowsku omijać to, czego wypowiedzieć nie chce, umie tak obrazy swe ustawić, aby uwagę widza zwrócić na postacie, o które mu głównie chodzi, a resztę, tło, i majaczące na niem widma załsnąć pierwszym planem, którym się ogół zachwyca; umie w połowie wyrazić to, co pragnie, i w jednej setnej tylko, umie kreślić błyszczące sfery czy dawnych karmazynów, czy nowożytnej arystokracji, bo tam najwięcej miał pola ów właśnie lubiący blaski cygan-artysta; że w innej sfery, w regiony ciężkiej pracy, walki życia na zabój, tych codziennych bojów o chleb, dach, cześć, honor, miejsce na wielkim świecie, że w tym świecie także umiałby coby zechciał, tego dał próby w drobnych utworach swych najpierwszych; ale tylko wstąpił do tych światów po drodze, na krótko, i poszedł dalej innymi gościńcami i chyba że do nich jeszcze wróci.

Szczęсна.

Sienkiewicz o kobietach.

Te proste, kobiece natury, dotychczas wcale jeszcze nie rzadkie, dla których życie i obowiązek znaczą jedno i to samo, i które dlatego do obowiązku wnoszą dobrą wolę, i nie tylko dobrą, ale bardzo wytrwałą. Taka zaś wola prowadzi za sobą miłość, która świeci jak słońce, grzeje jak ciepło i koi jak błękitne, pogodne niebo. W ten sposób życie nie staje się suchym krzakiem cierniowym, który kole, tylko kwiatem, który kwitnie i upaja.

Zimne serce, a ognista głowa... Niebezpieczny rodzaj, o, niebezpieczny!

My kobiety, bez wyjątku jesteśmy pod względem miłości jednako wymagające, tylko z początku bierzemy często tę cząstkę, którą nam dają za całość, a potem... Potem te, którą mają w sercu prawdziwą poczciwość, zdobywają się na coś, co dla was jest słowem bez znaczenia, a dla nas często podstawą życia... Rezygnacja. Wierzech jest z miłości, rezygnacja może przyjść z czasem jako podszywka, jeśli zacznie być chłodno.

Nie po to powinno się wychodzić za mąż, by być szczęśliwą, tylko po to, by spełnić te obowiązki, które Bóg wówczas wkłada,—szczęście, to tylko przydatek i podarek boży... Jak się taką zasadę ma w sercu, to się ma wieczny spokój—weselszy, albo smutniejszy—jak Bóg da!—ale jednakowo głęboki. A bez tego, to tylko jakaś gorączka szczęścia—i gotowe zawsze zawody, choćby dlatego tylko, że to szczęście może być inne, niż je sobie wyobrażamy.

Co to jest mądrość nasza, książkowa, w porównaniu z tą prostą mądrością prawego, kobiecego serca!

Kobieta, nawet niezdolna kochać człowieka, kocha jednak miłość, a co najmniej siebie i swoją w niej rolę, i dlatego najczęściej z radością przestępuje próg narzeczeństwa, czując zarazem wdzięczność dla mężczyzny, który otwiera przed nią nowe widnokręgi życia.

Nawet wyobraźnia ludzka nie potrafi wymarzyć większego szczęścia na świecie, jak wielka i zarazem prawa miłość w małżeństwie. Nad to nie masz nic, i pomyśleć, że to leży pod ręką, że to jest przystępne dla każdego, że to rzecz jedynie dobrej i uczciwej woli, a ludzie depcą po tym gotowym skarbie i poświęcają spokój dla targaniny, a cześć dla bezceci!

Kobiety to ogromnie ujmuje, gdy się zważa na ich wymagania.

Kocha się tę kobietę, którą się kocha i nie dopasowuje się do niej żadnych z góry powziętych pojęć o miłości, bo te pojęcia,—jak dzieci—dopiero z kobiety mogą się rodzić.

Kobiecie jest przyjemniej, gdy należy do człowieka, który jest—czemś.

KAZIMIERZ GLIŃSKI

WRÓCII!

POWIEŚĆ.

(Dokończenie).

Sośniccy obracali się w bardzo małym kółku znajomych—najserdeczniejsze teraz były stosunki z Rzutkiewiczowstwem. Kiedy niekiedy tylko pan Mateusz wpadł do Kamenckiego, kiedy niekiedy Kamencki pana Mateusza odwiedził, ale pomiędzy temi dwoma domami nie było serdeczności wielkiej od czasu, gdy Paweł od Maryni usunął się powoli, a Laminowski o jej zdeklarował się rękę. Nie często też i panna Kamencka odwiedzała przyjaciółkę dawną, żal czuła do niej za to odwrócenie się Pawła, choć niejednokrotnie z ust Jadwigi słyszała, że myśl jej w inną skierowaną jest stronę i serce dla kogo innego bije.

Zapewnieniom tym nie wierzyła Marynia.

Paweł, dawniej dusza towarzystwa, rzadko się teraz pokazywał w salonach Szarogrodzkich. Wiele mówiącem też było zerwanie jego z domem Porczyńskiej, pojedynek zaś pieczęć położył na karcie niepewnych jeszcze domysłów. Dla nikogo zresztą tajemnicą nie było, że jedynie dom Sośnickich odwiedzinami się jego cieszył, że podczas letnich wycieczek Sośnickim tylko towarzyszył, często też widywano razem Pawła i Jadwigę, jak oddalwszy się od rodziców, zagłębiali się w gąszcz leśną, lub łódź odbijali od brzegu, albo wracali z pól dalekich z wiązanką bławatków lub pęczkiem kłosów przenicznych. A oto już drugi karnawał grzmi, szumi i brzęczy, bale za balami idą, młodzież w tan z zapamiętaniem się rzuca—a Pawła, do tej młodzieży należącego, nie widać nigdzie, pojawia się czasem na jakimś wieczorku prywatnym, lecz takim chłodem powieje, że ostentownie cieszą się, gdy towarzystwo opu-

czał. Panie i panny szeptały coś między sobą, młodzież zawistnym trochę okiem patrzyła na niego, bo niejednemu, na widok panny Jadwigi, owineło się serce tęzą, rozkoszne pragnienie się zbudziło—lecz dostęp do niej był trudny, a kto wie czy przez wspomnienia, czy przez Pawła broniony. Nie lubiono więc Pawła, nie lubiono Sośnickich, a zajmowano się niemi. Wiedziano doskonale, co u nich w domu się dzieje, kto bywa i gdzie bywają; wielkie zdziwienie ogarnęło ciekawskich, gdy dowiedziano się, że i Andrzej Dudkowski przypuszczony został do towarzystwa rodziny pana Mateusza. Skrzyżowały się uśmiechy, ale tylko uśmiechy—słowa trzymano na uwiezi. W pamięci każdego stał żywo pojedynek Pawła, okaleczony przeciwnik był chodzącym przykładem, że ze spojrzeniem każdym i wyrazem każdym, skierowanym w stronę panny Jadwigi, liczyć się potrzeba było.

W ogólnej zabawie miasta i teraz Sośniccy żadnego udziału nie brali. Jadwiga powróciła do zajęć swoich, codziennie niemal zwiększało się grono jej słuchaczy, rzucone przez nią ziarna kielkować zaczęły, obfity plon zapowiadając na przyszłość.

Niekłamaną, prawdziwie szczerą przyjaźnią darzyła Jadwigę Helena. Coraz częściej była świadkiem jej pogawędek naukowych z działalnością rzemieślniczą, przekonywała się dowodnie, co praca, wola silna i poświęcenie zrobić mogą. Podziwiała wytrwałość Jadwigi, z ubóstwieniem prawie patrzyła na nią i nie dziwiła się Pawłowi, że sercem do niej przyłgał, nie dziwiła się Andrzejowi, że duszę swoją jej oddał.

— Gdybym było chłopcem, miałabym jednym kochankiem więcej—mówiła do Jadwigi. I zapadała w zadumę tak niewłaściwą jej usposobieniu.

Stosunek Andrzeja do Jadwigi nie zmieniał się, w sercu chłopcu rosła miłość do nieskończoności wymiarów, lecz teraz tak czuł się szczęśliwym, że o przyszłości nie myślał, z zapomnieniem zupełnym oddając się chwili obecnej.

Jadwiga z dumą pewną patrzyła na Andrzeja jako na dzieło rąk swoich. Umysł jego w szalony się sposób rozwijał, zdumiewał pamięcią orlą, błyskawicznymi rzutami myśli, miłością ogromną do tego wszystkiego, co nosiło znamię piękna i wzniosłości.

— Jesteście usobieniem sielanki—śmiała się Helena, patrząc na Andrzeja i Jadwigę, na ich żarty, dziecięce prawie, na ich śmiech wesoły, na przedziwną harmonię ich istot duchowych.

— Baw się z nami—opowiadała Jadwiga... niech sielanka szersze koło zakreśli...

— Ty, on i ja?... Wenus, Amor i Foka? Prześliczny obraz popsułabym tym trzecim dodatkiem—śmiała się Helena.

Paweł, widząc wesołość Jadwigi ile razy Andrzej w jej towarzystwie się znalazł, posepniał jak dzień, gdy nagle obłok słońce zakryje. Nie było to skutkiem podejrzenia a tem mniej zazdrości, lecz skutkiem niepewności własnych myśli i postanowień. Bywały chwile, że on był udarowany uśmiechem Jadwigi, że, widząc go, radość na jej odmalowywała się twarzy i wyciągała ręce obie, nie gniewała się nawet za jakies słówko tkliwsze w ucho jej rzucone, a choć zamysliła się czasami, to wnet się otrząsała z tych myśli, mówiąc nieraz do Pawła:

— Nie spodziewałam się nigdy, żeby czas miał taką władzę nad pamięcią ludzką, a może to zresztą nie czas—dodawała półgłosem, może to pan jest tym potentatem—z uśmiechem kończyła.

— Panno Jadwigo!—odzywał się wtedy z uczuciem Paweł, czując niebo rosnące mu w pierś—i podbiegał do niej z ramionami wyciągniętymi, lecz ta go zatrzymywała w pół drogi, a gdy stał tuż przy niej, odbiegała z uśmiechem wesołym na ustach, wołając:

— Stój pan—stój!... Powiedziałam tylko: może!—To nie jest jeszcze pewność żadna—a pan myślał... A!—zarozumiałec z pana!

Takie chwile były chwilami wielkiego szczęścia dla Pawła, sowitą nagrodą za nocie nie do, spane, niepokoje serdeczne, latarnią morską—przyswiecającą rozbitkom podczas cieniów nocnych.

Paweł z dniem każdym, z godziną każdą widział się coraz bliższym celu. Z rozmową z Jadwigą nie potraçał wspomnień, które samą siłą rzeczy bladły, szarzały i usuwały się w dal. Przez Helenę się dowiedział, że już od ośmiu miesięcy z górą żadnej wiadomości od Gustawa nie było. Jadwiga wysłała list jeden, drugi i trzeci—lecz odpowiedzi nie otrzymała. Dawniej ogarnęłaby ją rozpacz może,—teraz—tylko niepokój. Ale po wysłanym liście trzecim, gdy bez żadnej wieści z tych stron oddalonych ćwierć roku upłynęło—poskarżyła się tylko przed Helenką, patrząc przez lzy na fotografię Gustawa, a później do rąk ją wzięła, spojrzawszy raz jeszcze, jakby rzucając pożegnanie ostatnie—i—od tej chwili, portret Gustawa znikł z biurka Jadwigi, gdzie go schować musiała, lecz już Gustaw nie patrzył na nią, nie przypominał się jej, był niewyśnionym snem tylko, duchem czy cieniem, który w danej chwili jej życia zjawiał się—i przeszedł...

Paweł, otrzymawszy tę wiadomość przez usta Heleny, nie wiedział sam, czy ma iść na spotkanie szczęścia, czy czekać, żeby szczęście samo do niego przyszło. Zrazu uczuł dziwne drżenie serca, jakby w tem ukryciu portretu Gustawa była część jego winy. Niepokój nim miotał, we wnętrzu jego duszy odzywał się coś, jak sumienie. Przy spotkaniu się z Jadwigą milczący był jakby czuł ciężar grzechu nieodkupionego jeszcze. Ale minęło tygodni kilka i nie on się uśmiechnął pierwszy, uśmiechnęła się Jadwiga. Gdy przyjsz miał, wiedział już, że go oczekiwano—gdy nie przyszedł, wiedział już, że tęskniła. Marzenia miał więc coraz śmielsze, słowa coraz tkliwsze, coraz dłuższe rąk ukochanych uściski, zapytania serdeczniejsze i śmielsze odpowiedzi. Aż oto nadszedł dzień wigilijny, do uczy u Sośnickich zasiedli i Rzutkiewiczowie razem. Zobaczył jedno krzesło niezajęte, na tajemniczy szept rodziców milczącą odpowiedź Jadwigi—dwie lzy w jej oczach—jakiś smutek ogromny—za każdym drzwi otwarciem rzucone spojrzeń niespokojnych, jakby oczekiwanie trwożne, i coś—jakby ból z doznanego zawodu.

Wznoszący się gmach marzeń runął.

Tymczasem karnawał minął, post nadszedł, wrażenie doznane w dniu wigilijnym zatarło się powoli i znowu uśmiech zakwitł na ustach Jadwigi i znowu Paweł wiedział, że jest oczekiwany, że—tęsknią za nim, gdy nie przychodzi.—Helena mimowolnym stała się łącznikiem między Jadwigą a Pawłem.

— Co pan Paweł mówi o mnie?—pytała ją czasami Jadwiga.

— Co pani wie o niej?—pytał Paweł Helenę...

Jadwiga dowiadywała się o stanie duszy Pawła, słuchała z zajęciem opowiadań przyjaciółki, i gdy ta raz zwróciła uwagę, że na biurku nie widzi podobizny Gustawa:

— Nie wiem już nic o nim—odpowiedziała Jadwiga.. Rok mija—pan Gustaw milczy.

— Ożenił się pewnie.

— Być może, że się ożenił... Wielu się tam już pożeniło... Słyszałam o tem od tych, którzy wrócili... ztamtąd..

— A zatem: *Veni Creator*—Jadwisiu!—zawołała Helena.

— Do organów już zasiadasz—odpowiedziała z uśmiechem Jadwiga.

— Jaka ty czarodziejska będziesz w balowej sukni!...

Jadwiga spojrzawszy w zwierciadło.

— A ubierzesz mnie?— spytała.

Helena zaczęła całować i ścisnąć przyjaciółkę, — Cieszysz się, jakbyś sama wychodziła za mąż.

— Eh! kto taką krasną weźmie!—odpowiedziała Helena, machając ręką. Myślałam, że złapię twojego braciszka—nie udało się! Na drugiego szczupaka nie zapuszczę już wędkę.

Oczywiście, że o tej całej rozmowie pan Paweł się dowiedział i zwinięte żagle nadziei śmieiej teraz na wiatr rozwinął.

Nadeszła wiosna, do życia zbudziło się znów wszystko. Sośnicki otrzymał krótki list od syna, że z młodą małżonką z zagranicy już powrócił i zamieszkał w Chorzanach, majątności swej żony. Radzi są bardzo odwiedzić Szarogród, ale, nie wiedząc, kiedy to nastąpić może—„bo”—żona mi trochę niedomaga—pisał Aleksander, sam zaś muszę przypatrzeć się bliżej otrzymanej fortunie, która bez pana, rozrywaną zostawała przez *hultajów ekonomów*, a *chłopsztwo* rozpaskudzone w dworskie worywało się grunta, w lesie szkód dużo porobiło, tak, że muszę ich wszystkich wziąć w ryzę porządnie, ku czemu posłuży dobry mój stosunek z włóściańskimi komisarzami i w ogóle z całą klasą urzędniczą.—Zabierają mi też dużo czasu obowiązkowe wizyty i rewizyty, a prawdopodobnie, że na lato do kąpiel morskich wyjedziemy.

Po przeczytaniu tego listu pan Mateusz spochmurniał, Jadwiga ostre ukłucie w serce uczuła, a pani Sośnicka szepnęła:

— Żona naszego syna, nie chce mieć z nami stosunków...

Po chwilę zażawione oczy zwróciła na Jadwigę i rzekła:

— Jadwisiu—w tobie nadzieja nasza.

Jadwiga zrozumiała znaczenie spojrzeń matki i słów tych... Podbiegła do niej i ująwszy jej ręce zaczęła gorącymi pocałunkami okrywać.

— W tobie nadzieja nasza—powtórzyła raz jeszcze Sośnicka, a pan Mateusz dodał:

— W takiej biedzie i takiej niepewności jutra—żyć trudno.

— Paniąka wyjdzie za pana Pawła—wtrąciła znajdującą się w pokoju Janczewska...

— Cicho, Marcju, cicho—pst!—zawołała Jadwiga, podbiegając do piastunki i palec na usta jej kładąc—ale w wołaniu tem nie było nakazu, śmiały się oczy, śmiały się usta a rumieńce żywą krwią grały koralów.

Wtem drzwi się otwarły i wszedł Paweł.

— A!—zawołała Jadwiga, podbiegając do Rzutkiewicza.

— O wowku pramowka, a wowk w obor!—rzekła Marcja.

— Mówiliśmy właśnie o panu—odezwała się Jadwiga, wesołym uśmiechem witając Pawła...

— Ale co mówili, żeby to panicz wiedział!—wtrąciła Janczewska...

— Marcju!—zwróciła się Jadwiga do piastunki.

Marcja przyłożyła kłak do ust i śmiała się uszczęśliwiona.

— Mówiono o mnie, słyszę śmiech, widzę wesołość.—zawołał Paweł. Na miłość boską, powiedzcież mi, państwo, coście mówili i to, na obitek—o mnie?

Jadwiga pochyliła figlarnie głowę i patrzyła z uśmiechem na Pawła.

— Ciekawość...

— Pierwszy stopień do piekła—dokończył Paweł... Wiem o tem.—Mimo to jednak, kaźcie mi państwo pójść do tego mieszkania Lucypera, powiedzcie mi tylko o czem mówiliście przed chwilą...

— I zgadzasz się pan na piekło?—spytała Jadwiga.

— Z duszą i z ciałem.

— Ależ ja tam nie będę—dodała, załamując rozpaczliwie ręce.

Paweł widział ją nieraz wesołą lecz tak wesołej nie widział jeszcze—wypowiedzenie zaś słów, które usłyszeć nie tak prędko miał nadzieję, bo one mówiły, o piekle, któreby ją z nim rozłączyło—wypełniło duszę jego szczęściem, o jakim nie marzył dotąd. Nie dopytywał się już, co mówiono i jak mówiono. Znaczące słowa starej Marcji, niby groźna a figlarnie nakazanie jej przez Jadwigę milczenia—to piekło wreszcie, nie kryły w sobie nie podejrzanego, nic, coby choć na chwilę zaniepokoić go, zatrwożyć mo-

gło. Zresztą wyraz twarzy pana Mateusza i rozrzewnienie malujące się w oczach Sośnickiej, kazały mu się domyślać, że mówiono o niej i o nim, że serce Jadwigi przykrości już nie zeznało, że wspomnienia nie odezwały się, przeszłość milczała, że zwyciężyły czas i oddalenie, i choćby raz jeszcze myśl wstecz się cofnęła i przelotny wywołała smutek, choćby głos jakiś z onych lat minionych odezwał się w duszy Jadwigi: byłby to daleki, daleki odgłos dzwonu pogrzebowego, krótkie, zbląkane echo, przelatające przez obszar jej pamięci.

Nie pytał więc o nic, znać tylko było, że drżał tajemniczym przecuciem szczęścia i gdy usta przyłożył do ręki Jadwigi czuła jak ręka ukochana zadrzała lekko, jakby dreszcz serdeczny przez palce przeszedł i udzielił się dłoni Pawła.

Wieczór w domu Sośnickich minął szybko, a owiewała go jakaś atmosfera uroczysta. Weselono się bez śmiechu, rozmawiano bez zbyteńnego podniesienia głosu. Gdy pan Mateusz udał się do swojego gabinetu po fajkę, a Sośnicka, wywołana przez Marcję, wyszła, młodzi zaś sami zostali—nie zbliżyli się do siebie, choć parla ich siła jakaś, jednocześnie tylko podniosły się w dół opuszczone powieki, spojrzenia się spotkały i spokojne, poważne, bez wywołania nawet rumieńców na jagody, patrzyły tak na siebie. Było to milczące porozumiewanie się dusz, rozmowa cicha, sojusz serc pragnących należyć do siebie.

Pan Mateusz nakładał fajkę i myślał o synu, który przecie musi kiedyś o rodzicach przypomnieć i drgnąć sercem; myślał z zadowoleniem o Pawle, o sześćdziesięciu tysiącach rubli przelanych na niego przez Rzutkiewiczową, a najbardziej rad był z dzisiejszego usposobienia córki, z którą już będzie można otwarćie o Pawle mówić, skłonić ją do kroku stanowczego i postanowienie zapieczętować ślubem.

— Nie zwlekać, nie zwlekać,—szeptał—do kościółka zaraz i basta!

Zajęty temi myślami nie zważał, że w salonie, w którym zostali Jadwiga i Paweł, niezamąconą niczem panowała cisza. Nie zwróciła na to i pani Sośnicka uwagi, zajęta gospodarską rozmową z Janczewska, jedna Marcja tylko przerwała swej pani w pół słowa i przykładając palec do ust szepnęła:

— Czy paniusia uważa jak to tam w saloniku cicho?

— Albo co?—spytała Sośnicka, nierozumiejąc słów starej piastunki Jadwigi.

Marcja zachichotała.

— Milczą, paniusiu, ani jedno ani drugie się nie odezwie...

— Cóż więc?

— Pewnikiem się całują.

Pani Sośnicka szybko zwróciła się ku drzwiom, ale Marcja za suknię ją złapała.

— Nie przeszkadzajcie, paniusiu—bo to i niepotrzebnie i nie zdrowo.

Pani Sośnicka nie wiedziała sama czy ma iść czy pozostać. Wreszcie uśmiechnęła się i rzekła:

— Oj—stara, stara—co tobie do głowy przyszło?...

— Znam się ja na tem, znam się, jak ksiądz na Mszy Świętej!... A powiedziec prawdę, to powiem, co ja nie widziałam jeszcze takiego wypadku, ażeby panicz i panna siedzieli milczący i niepocałowali się. To już jest takie przykazanie boże, któremu przeszkodzić można ale odrobinę nigdy!

Twierdzenie takiej znawczyni, jaką była Marcja, nie przekonało może pani Sośnickiej, zaniepokoiło jednak. Pochyliła się ku drzwiom nieco, nasłuchując, lecz z salonika nie dolatywał najlżejszy szept rozmowy, ani oddech piersi falującej, ani przyciszony szmer pocałunków

— A co?—spytała Janczewska —

Pani Sośnicka weszła do salonu.

Paweł z Jadwigą siedzieli nieporuszenie na miejscach dawnych, rozdzieleni małą przestrzenią podłużnego stołu. Oboje trzymali głowy na dłoniach wsparte i wpatrywali się w siebie. Za wchodzącą Sośnicką pokazała się w drzwiach

twarz zaciekawionej Marcji, na której odrysował się wyraz niespodziewanego zawodu.

— Ten Pawełek, jak kukła nieruchawy, — mruknęła.—Obraza Pana Boga i koniec!

Na wejście Sośnickiej Paweł i Jadwiga zwrócili się do niej spokojnie i uśmiechnęli się jednocześnie—

— Cóż tak cicho siedzicie?—spytała pani Mateuszowa...

Jadwiga westchnęła a Paweł, zdawało się, że myśli zbierał—

— Dla czegośmy milczeli, panno Jadwigo?—zapytał.

— Ja mówiłam — odpowiedziała zapytana a lekki rumieniec twarzy jej ubarwił.

Paweł pochylił się przez stół i szepnął, schylając głowę w ukłonie:

— Dziękuję!.. Tak! pani tem milczeniem powiedziałaś mi więcej, niż słowami—

Wstał i zbliżył się do Jadwigi.

Jadwiga wyciągnęła rękę powoli i podaną dłoń Pawła zatrzymała w uścisku dłuższym—

Godzina była jedenasta wieczorem, gdy przez kuchnię, korytarz, sień i pokój jadalny wbiegła do salonu Helena właśnie w tej chwili uścisku niemięgo.

— A jakże tam—już?—zawołała wesoło i tym okrzykiem stropiła Jadwigę i Pawła.

Spojrzała na nich, później na Sośnicką, a nie słysząc z niczyjej strony zaprzeczenia, widząc tylko twarze uśmiechnięte i rozpromienione czło Pawła, już miała z czemś więcej i wyraźniejszem wyskoczyć, gdy, przeczuwając to, Jadwiga—podbiegła do niej szybko i zamykając usta pocałunkiem, szepnęła:

— Ani słówka, proszę, błagam, jeżeli mnie kochasz, jeżeli choć odrobinę szczęścia mi życzysz.

— Ale już?—szepnęła uparcie Helena.

— Niegodziwa!—znowu szeptem odezwała się Jadwiga, zatulając dłonią usta Heleny.

— Zatem już—bardzo mnie to cieszy, — odszepnęła Helena, ale Jadwiga ścisnęła ją mocno za rękę i rzekła cicho:

— Nie było słów—jak ciebie kocham, że milczeliśmy.

— Tem lepiej—

— Nie wrywaj się z niczem, bo całą sprawę popsujesz.

Brawo, Jadwisiu!—zawołała w głos już Helena i zaczęła ją ścisnąć i całować serdecznie, a choć Jadwiga śmiała się i zaprzeczała domysłem, lecz widać było, że śmiała się szczerze nieszczerze zaprzeczała.

O godzinie pierwszej po północy Paweł pożegnał Sośnickich. Wyszedł razem z Heleną, która, jak tylko znalazła się na ulicy, zwróciła się do Pawła i zapytała go wręcz:

— Oświadczyłeś się?

Paweł westchnął.

— Nie, pani—odpowiedział—

— Nie?? a to fajtłapa z pana—

— Jestem jednak tak pełen przeczuć do brych,—dodał, śmiejąc się,—że nawet na udzieloną mi przez panią tak łaskawie nazwę fajtłapy, rozgniewać się nie mogę. Ale mówmy poważnie...

— Miłość i powaga — mruknęła Helena—to jedno, co ananas i kwaszony ogórek na wety!... A Paweł mówił:

— Jestem teraz pewny serca panny Jadwigi, tak pewny, jak przyjaźni pani—a jednak lękam się wypowiedzieć jej to otwarcie, lękam się zażądać od niej słowa zbawienia mojego, by nieporuszyć jeszcze zaświeżych popiołów wspomnień, nie potrącać może niezagasłej tam iskierki jednej. Niech iskra zgaśnie, popioły ostygną a wtedy...

— Pan Gustaw powróci,—dokończyła Helena. Paweł drgnął silnie i stanął.

— Panno Heleno—jak mię pani boleśnie w pierś ugodziła!—szepnął.

Helena chwyciła gorączkowo rękę Pawła i do ust swych podniosła—

— Co pani robisz? — zawołał Rzutkiewicz—usuając dłoń swoją z przed samych już ust szalonej dziewczyny.

— Nic... nic...—szepnęła, jakimś zdławionym od łez głosem. — Chcę tylko pańskie i jej szczęścia.

Szybkim krokiem naprzód pobiegła, zostawiając samego Pawła.

Rzutkiewicz stał chwilę, jak onieprzytomniały —

— Nie nie rozumiem — szepnął. — Czyżby... ona — — —?

Obejrzał się.

Ulica zalana blaskiem księżycowym milcząca była i pusta. W dali przed nim migał się cień szybko idącej postaci kobiecej. Po ruchach łatwo było poznać pannę Helenę. Paweł iść zaczął, jak mógł przyspieszał kroku, ale umykającą dogonił dopiero, gdy wbiegła na schody ganku swojego mieszkania —

— Pozwoli pani sobie dobranoc oddać, — zawołał zdyszany.

Helena zatrzymała się na stopniu i wyciągnęła rękę do Pawła.

— Dobranoc panu, — rzekła.

Paweł ujął jej rękę — drżała jak w febrze.

— Co pani jest? — spytał, nie będąc jeszcze zupełnie pewny domysłu swojego.

Helena odpowiedziała.

— Leciął wróbel szary, brzydki, brzydszy od braci swoich, bo natura poskapiła mu nawet upierzenia zwykłego. Spotkał gołębia wędrownego o piórach lśniących, postawie śmiałej, o karku dumnym. Otoczyło go ptactwo różne, zachwycając się postawą wspaniałą, ale ten wróbel szary nie mógł należeć do tej szczęśliwej gromady, która za pan brat była z panem gołębkiem i razem z nim z różnych darów korzystała natury. Wróbel szary raz jeden tylko chciał się zbliżyć ku niemu, dotknąć piór jego, o skrzydła się otrzeć, bo wróblowi się zdało, że i on jest ptakiem. Dobranoc, panie Pawle!

Uściskała zamaszycie, jak zwykle, dłoń Rzutkiewicza, uśmiechnęła się pocziwie i znikła za drzwiami.

— Dziwna jest kobieta z tej panny Heleny — mówił Paweł, idąc do siebie — i zapomniał o słowach jej, które tak ukłóły, pamiętał tylko o wieczorze dzisiejszym u Sośnickich spędzonym, o miłej rozmowie z Jadwigą, o tem, co ona mu tem milczeniem powiedziała, a to było tak wymowne, tak dobre, tak przepełnione najpiękniejszymi kwiatami nadziei.

Wiosna roskwitała, rozrzuciła skarby swoje na ziemię, świat cały pod jej technieniem ożywał. Paweł teraz codziennym gościem był u Sośnickich, z drżeniem jednak przestępował próg ich domu, lękając się cienia dawnego smutku na twarzy Jadwigi. Ale Jadwiga odżywała wraz z wiosną. Uśmiech nie schodził z jej ust, witając Pawła mówiła już otwarcie: Czekalam na pana, tęskniłam za panem. Jakaś pewność szczęścia zapanowała w domu państwa Mateuszostwa, co oddziało doskonale na stan zdrowia samego pana, a nawet Marcia utyla z radości, że już się wszelkie „utrapienie“ skończyło. Wiadomości tylko o panu Aleksandrze niezbyt pocieszające były, przynajmniej nie cieszyły panny Jadwigi.

W majątku Rabskiej było kilkadziesiąt osad szlacheckich na czynszu osiadłych. Z dziada pradziada mieszkali na działkach swoich, kontraktów z dziedzicami nie mieli, wypłacali się sumiennie i przyjęte na siebie obowiązki spełniali. Pan Aleksander chciał pisaniami kontraktami ich związać, ale oparli się jak jeden mąż. Nastąpiły procesy, rugowania z dziedzictwa, skargi i żale, opuszczanie chat swoich i lament wielki. Mimo to wszystko, w Warszawie wychodził „Grzmot“ pismo poświęcone sprawom społeczno-narodowym. Odczytywała tam często Jadwiga artykuły pióra pana Aleksandra, w których mówił o umoralnieniu ludu, o nadżyciach szlachty dawnej, o mrzonkach separatystycznych. Z czasem wycofał się ze współpracownictwa, a korzystając z fartuszkowego majątku, palił wonne cygara, drwił z marzeń starych, przy kieliszku o postępie mówił, o godzeniu się z faktami przez czas dokonaniem, a tymczasem przyszedł do przekonania, że filantropia to głupstwo, przede wszystkim zaś jest

wygodna drzemka po sutym obiedzie. To boleśnie raniło Jadwigę, czuła coraz więcej sieroctwo swoje — znalazła więc brata w Andrzeju, a sercem garnęła się do Pawła.

Rozpoczęły się letnie wycieczki za miasto — najśrodsze chwile upajań się naturą i częstego sam na sam w uroczych skałach nad Rastawicą. Do wyznań nie przychodziło — bo słowa Heleny, rzucone Pawłowi o powrocie Gustawa, zupełnie inny skutek odniosły, niż spodziewała się jego dobra przyjaciółka. Wróciła dawna drażliwość, strach dawny. Dopiero paromiesięczny przeciąg czasu, powolne oddawanie się Jadwigi, każały zapomnieć o bólu doznany i dawnej wierze powrócić...

Zadzwończyły znów sierpy i kosy, Paweł z Jadwigą wracali z pól dalekich, uśmiechnięci, weseli, wróżąc z listków rumianków polnych, co komu przyszłość przyniesie. Właśnie przy drodze wyrósł kwiat rumianku, listki miał duże, zdawał się do wróżby prosić. Jadwiga podbiegła, zerwała kwiat i obrywając listki, szeptała zaczęła:

— Kocha, niekochają, trochę, mało, nic... Kocha! — zawołała i w dłoń klasnęła.

— Kto? — spytał Paweł.

— Oczywiście, że pan!...

— A kogo? — szepnął —

Jadwiga podniosła oczy i spojrzała na Pawła. Patrzyli tak chwilę —

Znowu ich coś ciągnęło do siebie i coś wstrzymywało zarazem.

— Zachodzi słońce — chodźmy! — rzekła pierwsza Jadwiga.

Wracali milcząc, Paweł prowadził Jadwigę. Szli blisko siebie, przytuleni do siebie — i może by to milczenie skończyło się życzeniem Janczewskiej, ale spotkali ze wzgórza schodzącego Andrzeja.

Jadwiga usunęła rękę z niemych uścisków Pawła i podbiegła do idącego w zamyśleniu Andrzeja.

— Andrzeju! — zawołała — a zkąd to?

Andrzej podniósł głowę i uśmiechnął się —

— Ze skały — odezwał się —

Jadwiga mu pogroziła.

— O nie, nie — daleko jeszcze do tego, — odezwał się.

Rozeszli się dopiero w mieście. Andrzej do ojca poszedł, Paweł towarzyszył Jadwidze aż do domu —

— Czy mam zająć? — spytał.

— Ach, jaki pan niedobry, panie Pawle! — odpowiedziała Jadwiga.

— Jadwigo! życie moje! — zawołał Rzutkiewicz.

— Pst! pst! — odezwała się Jadwiga — odbiegając o krok jeden, bo Sośnicy ukazali się w drzwiach, a w chmurach grom głucho zahuczał.

— Deszcz będzie — rzekł pan Mateusz, — chodźcie do pokoju.

Zapalono światła, Sośnicki z żoną, Jadwigą i Pawłem usiedli przy okrągłym stole w pokoju jadalnym, niby jedna już rodzina, myśl jedna, jedno serce.

Odezwał się grzmot raz drugi i lunął deszcz.

— Dzień był parny — rzekł Paweł. — Deszcz taki to błogosławieństwo niebios.

— Jutro będzie przesłuchanie — pójdziemy na skały, panie Pawle — odpowiedziała Jadwiga...

— A pozwoli pani powtórzyć to — co powiedziałem przed uderzeniem pierwszego piorunu.

Jadwiga z uśmiechem poruszyła główką raz i drugi, jakby mówiła: Dobrze, — pozwolę, pozwolę...

Teraz Paweł nie tylko o słowach pomyślał... Więc rzekł:

— Lecz i odpowiedzi zażadam.

Przeciągły grzmot dał się znów słyszeć, a wtem weszła Janczewska i rzekła.

— Listy!...

Jadwiga skoczyła...

— Daj! — daj!...

Paweł zbladł...

— Gustaw! — krzyknęła nagle, rzucając okien na adres jednego z listów. Z gorączkowym pośpiechem rozerwała kopertę i czytać zaczęła,

a lzy uniesienia i szczęścia z oczu jej biegły, drżały usta, dłoń drżała i widać było, że przeszłość cała, wspomnienia wszystkie uderzyły jakimś dzwonem ogromnym w jej sercu, duszy i nie dającej się oszukać pamięci. W zapomnieniu zupełnym, nie widząc, że Sośnickich ogarnął jakiś niepokój trwożny, że Paweł był błąd jak ściana — całowała list ukochany, z drżeniem nerwów wszystkich, z szaleń, do obłędu podobnym.

— Wróci! — wróci! — mój Gustaw wróci!... Mamo! oje! — wróci! — wołała, rzucając się do kolan rodziców, nie mogąc wstrzymać łez, ani na krótką chwilę płaczu stłumić.

Ale nikt nie wtórował wybuchowi radości Jadwigi, jedna tylko Janczewska, widząc uniesienie swojej dzieciny, przypomniała dawne chwile, chwile, gdy Gustaw, przed wyjściem... całował włosy kochanki, niezmiernym szczęściem upojony — jedna tylko Marcia, zaczęła na głos płakać, a lzy ze śmiechem, łkanie z urywanymi słowami się mieszały.

— A ja ci powiadała, Jadziuniu, że wróci! — powiadała zawsze: czekaj, kotunio, a doczekasz się zbawienia niebieskiego. — Zapomniała pocziwina, że protegowanym jej był Paweł — zbudziła się pamięć i w jej siwej głowie, niezatarte chwile ostatniego pożegnania Gustawa z Jadwigą, teraz stanęły, jak żywe przed nią i lzy dawne wycisnęły z oczu starych.

— Jadwiniu — uspokój się! — rzekła po chwili pani Sośnicka głosem drżącym. — Nie jesteście sami — Jadwiniu!

— Al... pan Paweł! — opamiętała się Jadwiga.

Od ust swoich oderwała list drogi i przerażone oczy zwróciła na Pawła. Łkanie znowu pierś jej zdławiło, lecz był to już płacz inny, w którym przebijało się błaganie gorące, prośba o przebaczenie za winy, za grzech zadanego cierpienia, za rozwianie nadziei i marzeń.

Panie Pawle... przebacz... ale widzisz... ja nie mogę — mówiła przez lzy... Myślałam, że w sercu popioł, że wspomnienia zamarły, umarła przeszłość... Odżyło wszystko, wszystko — O! jak cierpię za ciebie, jak ja tamtego kocham!... zawołała, z płaczem ogromnym rzucając się na sofę.

Paweł, ostatnim wysiłkiem woli zapanował nad sobą... Oczy szklane, nerwowy ruch ust, bladeści twarzy i drżenie żył na skroniach, mówiły że cierpiał okropnie... Podeszedł do Jadwigi, pochylił się, wziął jej rękę i przykładając do ust zbierałych — szepnął...

— Kochaj, kochaj tamtego... Ja nie miałem prawa o serce się twoje dopominać. Nie ty mnie, lecz ja ciebie o przebaczenie prosić powinienem... Wina jest moja, mój grzech, żem chciał cię zdobyć dla siebie — gdy tam... on... żył tylko tobą, gdy ty, jedynie ty tylko byłaś dla niego pokarmem i napojem. Kochaj go, pani, całą siłą swej duszy czystej — on wart jest miłości twojej!..

Jadwiga nie mogła jednego słowa wypowiedzieć; widząc tylko czoło blade, pochylone ku sobie — położyła na niem długi, długi, jak wieczność, pocałunek...

Gustaw pisał:

— „Jadwigo! czy ty pamiętasz o mnie?... Może twe serce ból czuje za to milczenie długie, Wracam!.. Obrachowawszy czas jazdy, wypadki w podróży — w sam dzień Wigilji będę u was, chyba bym umarł!

— „O kochanko moja! śnie mych snów wszystkich, marzenie nocy niespanych — jak ja z utęsknieniem dnia tego oczekiwać będę... Uczuj ciepło twych ramion, ogień twych ust, warkoczów zapach!..

„Pisałaś do mnie, że zachowujecie zawsze jedno nakrycie więcej przy stole wigilijnym... To dobrze!

„Ach! — Wigilja!

„Po tysiąc razy powtarzałbym ten wyraz Wigilja!.. Jak ja dawno waszego opłatka nie widziałem, nie dzieliłem się z nikim życzeniami. Czekaj, przybędę — chyba bym umarł... ale i wtedy, czując, że duch by mój przyszedł, taka mnie rwie szalona tęsknota do was, dotknąłbym twych włosów, poruszył fałdów firanki, westchnąłbym tak, że musiałybyś usłyszeć...“

— Wróci! wróci! — powtarzała Jadwiga, upajając się słowami listu Gustawa.

Paweł pożegnał Sośnickich i znalazł się na ulicy. Ślaniał się, w głowie szum slyszal, jakby w niej burza szalała, a w sercu ból, ból czuł ogromny.

Rzutkiewiczowa przeraziła się, gdy stanął w drzwiach pokoju.

— Polu! co tobie jest? — wrzasnęła —

A on się zachwiał i runął jak słup na ziemię.

Krzyk biednej matki napełnił powietrze...

— Wody! ratunku! — wołała, ale służącej nie było, w gościnę poszła i nie wróciła jeszcze. — Wołanie to jednak posłyszala Helena, która na dziedzińcu przed domem się przechadzała. Jednym skokiem przesadziła ganek, sień i próg pokoju, gdzie leżał na pół martwy Paweł. —

— Coś się u Sośnickich stało! — zawołała, domyślając się dramatu jakiegoś, i przypadła do Pawła.

Silnem szarpnięciem ręki rozdarła koszulę na jego piersi, kilka bryzgów wody na twarz rzuciła, a pochylwszy się w oczy jego dmuchnęła, przyczem usta do ust przyłożyła i gorąco, namiętnie zaczęła całować...

Paweł się poruszył a podtrzymywany przez Helenę i panią Rzutkiewiczową, podniósł się i błędnym okiem powiódł dokoła.

— Co to się panu stało? — spytała Helena.

— Gruzy... ruiny... ogromna próżnia życia — wyszeptał na pół przytomnie, siadając ciężko na podsunięty przez Helenę fotel. —

— Mów pan wyraźnie, bo nic nie rozumiem.

— Korycki wraca!... Był list — lissst — —

Rzutkiewiczowa jęknęła cicho, Helena wargi przygryzła do krwi. —

— Rozumiem nieszczęście twoje, Polu! — wyszeptala pierwsza, — ale jak można tak nie panować nad sobą?

— Dobrze to pani gadać — rzekła Helena... —

Na miejscu syna pani będąc, jabym powiesiła się może. No! ale czas się już opamiętać. Zbudź się pan! — mówiła, kładąc ręce na pochylone ramiona Pawła...

Rzutkiewicz ciężką głowę podniósł.

— Jezus Marya, jaki pan zielony jesteś — zawołała Helena, a wzięwszy z biurka zwierciadło i stawiając je przed Pawłem — dodała: Spójrz tylko na siebie — wyglądasz jak człowiek, który w każdej kropli krwi swojej ma dziesięć milionów bakterij tyfoidalnych...

— Złamany jestem. O, jak mię tu, tu boli!... zajęczał.

— Pan nigdy nie kochałeś Jadwisil! — wykrzyknęła Helena. —

— To bolesny żart, panno Heleno!...

— Nie żart, to prawda, mój kochanku! Siebie, siebie kochałeś przedewszystkiem!.. Jej szczęście powinno być twojem szczęściem — a powrót pana Gustawa jest szczęściem dla niej! Co tam u Sośnickich było, nie wiem, ale Jadwiga radością swoją chciałaby się z kimkolwiek bądź podzielić.

Paweł drgnął.

— Tylko nie ze mną, nie, nie! — odezwał się.

— Ale pana nie dziś, to jutro zobaczyć musi, chyba, że pan uciekniesz, ale, czy myśl, że stała się mimowolnym nieszczęściem pana, nie zatrąje jej chwil radości? Czy pan, wyglądający jak zadżumiony w El-Arisch po stracie siedmiorga dzieci, przyczynisz się do jej wesela? Och, mój Pawelku, Pawelku, jabym ci powiedziała, jak to czasami kochają, milczą, a poświęcają się tak cicho, że nawet, przenikające wszystko powietrze, nie wie! Uśmiech na ustach a w sercu ból, żart goni za żartem a dusza krzyczy!... Wróbel szary czasami ma więcej sił od wspaniałego gołębia. —

W miarę jak mówiła Helena, oczy Pawła zwracały się ku niej, przypomniawszy sobie bajkę opowiadaną tak niedawno przez nią i zrodzone wtedy podejrzenie w niewzruszoną pewność się zmieniło. Podniósł się, i widać było, że bóg siły zapanował nad demonem niemocy.

— Tak! tak — pewnym, choć drżącym jeszcze odpowiedział głosem... Niech widzi uśmiech na moich ustach, bólu nie dostrzeżę; rzucam

siebie na stos ofiarny, by jej łyzy jednej oszczędzić!

— Brawo, mój gołębiu — dostałeś orlich skrzydeł — zawołała Helena...

Paweł przycisnął dłoń jej do ust.

— Wróbelku szary, to dzieło twoje — szepnął..

Helena miała łyzy w oczach.

— Przez jutro, albo pojutrze nawet, nie pokażę pana Jadwisil. Zajmę ją, zabawię, a ty uspokój się tymczasem, żebyś nie wyglądał jak Dalaj Lama przez posty wygłodzony. — —

Zaledwie Jadwiga oczy otwarła podrażnione przez złoty promyk wschodzącego słońca, jak już Helena w objęcia jej padła.

— Wiesz?... — zawołała Jadwiga.

— Ależ wiem, wiem — odpowiedziała panna Kamencka — pan Paweł mi mówił.

— On ci mówił?

— Przecierpiało, biedaczysko — ale trudno!... Człowiek swoje, a Pan Bóg swoje. Pocziwina beknął parę razy jak przyduszona owieczka — lecz twoje szczęście jest jego szczęściem, zatem wspólnie weselić powinniście się..

Wartkim potokiem rozmowa popłynęła pomiędzy dwiema przyjaciółkami, nie było końca uniesieniom Jadwigi, odżyła przeszłość cała: Sośnica, Gustaw, marzenia wszystkie, pocałunki i szept — odżyło wszystko w pamięci i tęczową falą pragnień i pożądań, z jakimś krzykiem duszy parło się i zalewała całą istotę Jadwigi.

Dni biegly za dniami, za tygodniami tygodnie, miesiące za miesiącami. Paweł był smutny, Andrzeja nie dotknęła wcale otrzymana wiadomość... Czuł tylko jakby uderzenie fali jakiejś, która go naprzód nagle uniosła i pędziła z nim razem do portu niewiadomego. Chciał teraz skorzystać z każdej chwili zbliżenia się do Jadwigi, szczęśliwym był, gdy mógł u nóg jej klęknąć, czoło na kolana oprzeć i oddychać ciepłem jej ręki, zapachem warkoczów, lub przytuliwszy usta do ręki Jadwigi minutami całami wpijać się, jak pszczoła w miód kwiatów, w tę dłoń ukochaną.

Minęło lato, minęła jesień złota, ziemię okrył biały całun zimy, a świat się przygotowywał do uroczystości dnia Narodzin Jezusa. O, jakim niepokojem oczekiwania biło serce biednej Jadwigi, gdy nadszedł dzień świętej Wigilii, a Janczewska z parafii białe i różowe opłatki przyniosła — —

— Więc to dziś? — spytał Sośnicki...

— Dziś — drzącymi ustami odpowiedziała Jadwiga, a zwracając się do Pawła, Heleny i Andrzeja — szepnęła:

— Bądźcie dziś ze mną — — Mnie was tak potrzeba dzisiaj!..

Nikt nie mógł tej prośbie odmówić. Dzień Narodzin Bożych i dzień szczęścia Jadwigi postanowili przepędzić razem.

Odświętnie wyglądał dom Sośnickich, Jadwiga zajęła się wszystkim, pomagał jej Paweł. Co działo się w duszy jego — wiedziała jedna tylko Helena. To też całowała go spojrzeniem i szeptała co chwila mu na ucho:

— Cacy chłopiec z pana — coś z żelaza, coś z granitowej skały masz w sobie. — —

Andrzej był w gorączce... Raz w raz przytulał czoło do dłoni Jadwigi i mówił:

— Pozwól — to może raz już ostatni!

Jadwiga dnia tego odwiedziła wszystkich uczniów swoich, przełamała się z nimi opłatkami, na czole każdym i każdej główce długi a serdeczny pocałunek złożyła...

Słońce schyliło się ku zachodowi — Jadwiga nasłuchiwała tententu szybko jadących koni, szmeru sani, odgłosu dzwonka...

Cisza!

— O, jak mi serce bije — gotowe pęknąć z niepokojem oczekiwania, zanim on przyjedzie.

Nakryto stół białym obrusem — czekano z wieczera, dopóki gwiazda pierwsza nie błysnie, dopóki Gustaw nie przyjedzie.

Gwiazda błysła, zapalono światła — Gustawa nie było.

— O, niegodziwy! dlaczego się tak spóźnia — mówiła Jadwiga, dotykając dłonią serca to czoła rozpalonego.

Dał się słyszeć szmer jadących sani.

— On!...

Szmer się zbliżał, stawał się coraz wyraźniejszy.

— Helenko! podaj mi rękę... Al! moje się zmysły obłąkają, gdy on, od lat tylu niewidziany, oczekiwany od lat tylu, stanie tu — w tym progu — —

Sanie przejechały... dłoń niczyja nie potrafiła sercem dzwonka —

— Dawaj, Marciu, wieczere — odezwał się Sośnicki. — Mogły śniegi zaważyć drogi, tysiąc przeszkód być mogło. Nie przyjedzie dziś, to jutro przyjedzie — —

Jutro, pojutrze może — a tu serce Jadwigi jak szalone w piersi się trzępoco.

Zbliżył się do stołu Sośnicki, wziął do rąk opłatek — —

— Chwilkę jeszcze, tatusiu — prosiła Jadwiga.

— Już późno, dziecko.

— A pisał, że przyjedzie na wigilję, przyjedzie koniecznie, chybaby umarł — rzekła Janczewska.

Wtem jakiś chłód powiał... Szeł od drzwi wchodowych. Zakołysały się świec płomienie, a fałdy firanki zachwiały się z szelestem tajemniczym. Dało się słyszeć jakieś stapanie czyichś kroków, ciche bardzo, ostrożne bardzo. Jadwiga poczuła, że ktoś jej warkoczów dotknął i westchnął. Kroki się oddaliły — przez drzwi zamknięte do sieni poszły, w których spał wyżeł pana Mateusza... Nagle obecni posłyszeli trwożne warczenie psa. Paweł ku drzwiom się rzucił i ujrzał stojącego wyżła z szerszą zjezoną, wodzącego przerażonemi oczyma za czemś, co widzianem nie było.

— Duch przeszedł! — odezwała się Helena — —

A z piersi Jadwigi okropny krzyk wypadł — i padła na ziemię.

— Jezus Marya! — zawołał Paweł.

Rzucili się do omdlałej.

Podniosła się — blada, z szeroko rozszerzonymi źrenicami — a wpatrując się w drzwi, które, niewidziane przez nikogo, widmo wyszło — zaczęła szeptać nieprzytomnie:

— Tam — tam!.. Widzę go.

— Jadwisiu! — wołała z rozpaczą, matka za czoło ją chwytając — a ona wpatrzona w dal jakąś niezmierną, szeptała w obłąkaniu:

„A gdy rozmyślał o tajemnicach przyszłych, zacerwieniło się niebo i wybuchnęło wspaniałe słońce, a stanąwszy na kręgu ziemskim nie podniosło się, czerwone jak ogień.

„Korzystały z dnia krótkiego ptaki niebieskie i białe mewy.

— Dziecko! dziecko! — wołała matka, targając włos rozwiany, a Jadwiga mówiła dalej suchym, bezdźwięcznym głosem:

„Rozwidniła się wielka zorza południowa i pożar chmur.

„Anhelli był umarły.“

— Czas i mnie — czas! Niech duch mój za duchem jej goni! — szepnął Andrzej błąd jak trup — i wybiegł z domu.

Nazajutrz, rybacy, płynący łodzią, po niezamarniętej jeszcze rzece, zauważyli ślady krwi na skał ostrych krawędziach... Spieniony nurt fali z wściekłością się rzucał na głazów występy i szumiał i grzmiał w uniesieniu radości szalonej.

Odtąd nikt już nie widział Andrzeja — —

Żaloba była w domu Sośnickich, żaloba w sercu Pawła — — — Jadwiga zmysły straciła.

W świetlicy Dudkowskiego zebrano się grono malców, szlochanie wielkie było słyhać i skargi sieroce.

— Kto ją zastąpi nam, kto nam ją zastąpi? — wołano.

— Ja! — głos jakiś z progu się odezwał.

Wszystkich spojrzenia zwróciły się w tę stronę.

W drzwiach stała Helena.

Z KRAKOWA.

W Lisiepadzie.

Komuż ten tytuł czy nazwa łącząc się w myśli z imieniem Kremiera, nie przywodzi na pamięć młodocianych uniesień nad miodopłynnym słowem mistrza, który w barwną i kwiecistą (cokolwiek za kwiecistą może!) szatę odziewał szereg estetycznych myśli i wrażeń.

Nasze jednak „Listy“ jakkolwiek „z Krakowa“ nie wspólnego mieć nie będą z treścią lub formą kremerowskiej estetyki, zadaniem ich bowiem jest chwytanie na gorącym uczynku rozmaitych objawów życia w starym podwawelskim grodzie, tak starym, że złośliwi nawet wierzyć nie chcą że on żyje i rusza się po swojemu; nie tak chyżo co prawda, jak wasza uroczą Syrena, której metryki i domysleć się nie można, tak ją zręcznie ukrywa młodzieńczym rumieńcem, wysmukłą figurką i dźwięcznym, a donośnym głosem wygłaszającym rozmaite piękne, (a czasem i niepiękne) teorie i poglądy.

Otóż wracając do tego, że Kraków się rusza, musimy na dowód przytoczyć fakta i to, stosownie do okoliczności, fakta najbardziej obchodzić mogące czytelniczki „Bluszczu.“ Więć sprawa kobiet, ma się rozumieć! ale to przedmiot zbyt obszerny, by się dał wcisnąć w list nawet najdłuższy, więc odrazu postawmy sobie granice i pominawszy na teraz miłozieniem rozmaite „Prace kobiet,“ „pracujące kobiety“ i t. p. częstokroć wrogie sobie stowarzyszenia czy sprzysiężenia, rzućmy okiem na dość okazałe, barwne i... nieco gwarliwe grono kroczące śmiałym, a śpiesznym krokiem po zielonych niedawno, a dziś już białym szronem przypruszonych i ogołoconych z liści gałęzi sterczących „Plantach.“ Grono to urozmaicone co do wieku i postaci składających je kobiet, (gdyż obok młodziuchnych, rumianych dziewczeczek kroczą poważne już laty i wyrazem twarzy niewiasty), — rozsypuje się jakby garść rzuconych paciorków rozmaitego kształtu i barwy — po pięknych wschodach i krążankach Wszechnicy Jagiellońskiej! Tak, bo w tym roku nasz stary Kraków wyprzedził inne młodsze i hałaśliwsze grody i najniespodzianie w świecie otworzył przybytek wiedzy spragnionym jej niewiastom. Jak, i czemu to się stało? długo byłoby opowiadać; co na tę decyzję wpłynęło ostatecznie, także rozmaicie mówią. Podobno że pan minister oświaty (Gautsch) zwiedzając założone tu w zeszłym roku prywatnymi siłami gimnazjum, zdumiony był szybkimi postępami młodziutkich uczennic w klasycznych naukach, jakich tam im udzielają; dość że z początkiem bież. roku szkolnego zjawił się reskrypt tego pana ministra dozwalający zapisywać się jako „wolne słuchaczki“ na uniwersytecie, wszystkim kobietom mogącym się wykazać (niestety zawsze jakieś obstrzeżenia być muszą!): 1) poddaństwem austriackim, (prawda że gdyby nie to, zalałaby gród nasz powódź z mocarstw ościennych, zapewne) 2) tak zwaną „maturą“ z seminarium (nie duchownego, broń Boże!) U nas są seminaria nauczycielskie żeńskie i męskie przygotowujące na nauczycieli i nauczycielki szkół ludowych oraz szkół średnich po zdaniu egzaminów t. zw. ludowego i wydziałowego, z jednej z trzech grup, przyrodniczej, matematycznej lub historycznej, do których to egzaminów przystępują kandydatki po zdaniu matury.

Naznaczono więc pewne ograniczenia tamujące zbyt gwałtowne poloty czy wysoki chęciwych wiedzy niewiast ku przybytkom tych, dotychczas zazdrośnie przez smoka wawelskiego, strzeżonych skarbów. Mimo to jednak zapisało się na kursa uniwersyteckie 85, wyraźnie osmdziesiąt pięć kobiet na wydział t. zw. filozoficzny, na którym jest ogółem 138 mężczyzn. Dla nieświadomych tutejszej nomenklatury a przerażonych szumną nazwą, dodaję objaśnienie, że „filozoficznym“ nazywa się tu wydział obejmujący naukę historii, literatury, języków starożytnych i nowożytnych, matematyki, oraz nauk przyrodniczych.

Oprócz wykładów zwykłych, na które słuchaczki i słuchaczki uczęszczać mogą, urządzono w tym roku osobne dla nauczycielek szkół rządowych, które się o to domagały, i na tych same tylko panie słuchają kilku uprzejmie im niósących wiedzę profesorów, jak znani ogólnie i w literaturze poczesne zajmujący miejsce panowie: X. Dr. Pawlicki, prof. St. Tarnowski, W. Czernak i Fr. Czerny.

W ogóle największą popularnością cieszą się wykładowe prelekcje prof. Tarnowskiego. Wogóle zaś te usiłowania kobiet zdobycia wiedzy, noszą jeszcze na sobie ślad gonitwy za nowością, zatem pewnej skrajności i niecisłego zdawania sobie sprawy z całokształtu podobnego wykształcenia, w każdym zaś razie nieraz więcej idzie o wyraz: postęp niż — nauka na praktyczne wiodące drogi.

Zanim się te stosunki z czasem ułożą, pozwólmy sobie zwrócić się w inną stronę i w progę sztuki wstępując, napomknąć o zamkniętej niedawno wystawie szkiców i drobniejszych dzieł misternego pędzla, pozostałych po nieodżałowanym malarzu Chlebowskiem. Miło zaprawdę było spocząć na tych delikatnych obrazkach oku, bądź co bądź znużonemu cokolwiek oglądaniem owych ognistych lub fioletowych ziemniaków, wyrastających obok amarantowej kapusty na pomarańczowym zagonie. A tyle ich na naszej wystawie! Obrazki Chlebowskiego, przeważnie szkicowane, ale z właściwą mistrzowski miniaturową delikatnością pędzla, przedstawiają motywy ze Wschodu: widoczki, typy miejscowe, konie, Arabów, tu i ówdzie szkic do większego obrazu, studjum z wybrzeży Bretanii francuskiej i t. p. Wiele z nich znalazło, jak słyszałem, nabywców, czemu się wcale nie dziwimy.

Wartoby wspomnieć coś o teatrze, ale kto widział wytwornie, zaprawdę, urządzone wnętrza tego przybytku Melpomeny i oglądał przeszliczną kurtynę Siemiradzkiego, — nie dowie się od nas nie ciekawego; wolimy poczekać na obfitszy plon sceniczny, aby się nim z czytelniczkami „Bluszczu“ podzielić.

Nie zawadziłoby też zakończyć wedle zwyczaju kronikę naszą wiazanką świeżych miejscowych ploteczek, ale tak się nam dały we znaki rozmaite defraudacye, rewizye, obstrukcyje, likwidacye, że wolimy poczekać, aż dopóki upragnione kanalizacye, wodociągi, zmiany regulaminu i t. p. nie oczyszczą cokolwiek malarycznej atmosfery świata naszego i wtenczas dopiero świeże powiewy zaniosą Warszawie krakowskie nowinki i pozdrowienia noworoczne.

M. S.

PRZYRODA W POEZJI

przez

ANTONIEGO PILECKIEGO.

(Pracę tę w streszczeniu wygłosił autor w d. 25 i 28 Marca r. b. w Sali Muzeum Przemysłu i Handlu, jako odczyt publiczny na rzecz ubogich, zostających pod opieką Warszawskiego Towarzystwa Dobroczynności).

(Dokończenie).

* * *

Zakres pracy niniejszej nie pozwala mi zajrzeć głębiej do czarodziejskiej krainy poezji ludu, świeżej, wonnej, wiosennej, pierwotnej, jak gdyby prosto z łona przyrody wykwitłej.

Wrażenia ze zjawisk natury płyną bezpośrednio do duszy prostaczki, która odczuwa je niezmiernie żywo, nie przetrawia w refleksyi, ale brata się z niemi instynktem, sercem i zmysłami.

Młodzięczy umysł ludu widzi w objawach przyrody tajemnicę, siłę wroga, lub przyjazną,

a zawsze oddziaływającą na życie jego; sięgając zaś po za jej formy zewnętrzne, po za świat zmysłów, dopatruje się w tej sile treści nadprzyrodzonej. Ztąd tworzą się wróżby, świat cudów, tworzą się tytry.

Dusza ludu najżywiej w pieśni jego przemawia. Pieśń ta jest mu głosem codziennym; nuci ją o poranku, wtórując głosowi skowronka, we dnie, słuchając przepowiedni kukułki, i wieczorem, słuchając piosenki słowiczej; nuci zawsze, gdy serce jego żywiej zabije. W pieśni tej ludu mieszczą się wszystkie jego uczucia, wierzenia, jego dzieje, podania, cała dusza jego. A jest ona pełną przyrody, nią oddycha, w jej obrazach szuka symbolu uczuć swoich, wrażeń i pojęć.

Lud żywi tę wiarę niezłomną, że przyroda wywiera wpływ bezpośredni, a tajemniczy, cudowny, nadprzyrodzony na życie jego. Jedną z piosenek zakazuje swatowi zatrzymywać się „pod jedliną“, gdyż:

„Nieszczęścia od niej i na ciebie spłyną.
„Jedlina smutne i jałowe drzewo,
„U niej korzenie podmyte ulewa,
„Pośrodku żółna ją poprzebijała,
„A u wierzchołka burza połamała.“

Natomiast „pod sosenką“:

„Szczęście i korzyść udziela się tobie;
„Sośnina drzewem szczęścia obfitości.“

Pewne zjawiska przyrody, szczególnie niektóre kwiaty i zwierzęta mają w wierzeniach i w pieśni ludu znaczenie symboliczne. Wierząc w tajemnicze, cudowne znaczenie tych przedmiotów symbolicznych, lud używa ich w odpowiedniej porze życia, szczególnie przy obrzędach wszelkiego rodzaju. Ruta jest symbolem dziewictwa, a razem z miętą stanowi ziola godów ślubnych. Kalinę przywozi młody swej oblubienicy, jako symbol zamążpójścia, a pieśń powiada:

„I spadnie z ciebie krasa
„Jak z kalinińki rosa,“

O dziewczynie, która chce wyjść za mąż, spiewają, że zażądała „kalinowego wianka.“

Z ptaków symbolem zamążpójścia jest zazula, która porywa „krasę panięską.“ Sokół jest symbolem dzielności męskiej, młodzieńczej. Pieśń o „Jasięku sokole“ często w ustach ludu rozbrzmiewa. Sokół ten porywa zazule, czyli młode dziewczyny.

Wiosna jest siostrą młodości i dziewictwa, kwiaty jej stroją pola, ogrody wiosenne i głowy dziewcząt zarazem. Gdy chcesz znaleźć pannę na wydaniu, szukaj ogródka z kwiatami. Panna, dopóki zamąż nie wyjdzie, w ogródku tym, prócz innych kwiatów, szczególnie rutkę sieje, a gdy o której z nich chcą powiedzieć, że zostanie starą panną, mówią, że „będzie rutkę siała.“

Lud kocha przyrodę, żył się z nią od dziecka. Wiosna uśmiecha się mu wszystkimi swem czarami; przybycie jej wita z nieklamana radością i na cześć jej piosenki składa:

„O wiosno! wiosno miła,
„Już do nas wróciła,
„Znowu ciebie witamy,
„Znowu tobie śpiewamy.
„Śpiewajmyż koło chatki
„Dla wiosny, naszej matki!
„Skowronek już się wznosi,
„Wiosny wdzięki nam głosi,
„Miłe, siwe gołąbki
„Już gruchają na dębie,
„Piękną wiosnę witają,
„Nam radości przydają.“

Lud ma wyobraźnię świeżą, młodzieńczą; wyobraźnia ta ożywia całą przyrodę, ożywia nią też wszystkie myśli i uczucia swoje. Wizerunki jej stanowią treść, lub ozdobę każdej prawie jego piosenki. Niektóre z tych pieśni zawierają w sobie całą głębię uczuć, potęgę życia i obrazowości. Oto przykład:

„Na Ukrainie
„Po mą rodzinę
„Poszlę kukułkę żalosną.
„Poszlę do Nieba,

„Ze ojca trzeba,
Słowik wypiewa to głośno.
Lecz z Ukrainy
Niema rodziny,
J kukułka nie przybywa,
Słowik nie wrócił,
Co w Niebo nucił...”

(Pieśń po ślubie sieroty).

Nawet swą wiarę religijną lud umieścił nie tylko w wyżynach niebios, ale zarazem i w przyrodzie ziemskiej. Szczególniej Matkę Boską, którą wiara ludu naszego gorąco ukochała, wyobrażnia jego często sprowadza na ziemię i w licznych mytach uzmysławia. Dziewica Najświętsza stapa po polach naszych, rozmawia z ptaszkami, skowronek jest jej śpiewakiem, jaskółka, zwiastun wiosny, jest ulubioną jej ptaszyną.

Przyrodę ziemską wyobrażnia ludu unosi często w wyżyny, gdzie widzi krainę nadziemską. Między górami świeci gwiazda jasna, a gwiazdą tą jest Matka Boża, która, jak zwykła nasza gospodyni wiejska, przed swoją sionką umiata, bo się gości spodziewa:

„Jeden gość — to drobny deszczyk,
„Drugi gość — to jasny miesięczek,
„Trzeci gość — jasne słoneczko.”

Matka Boska Częstochowska podąża ze świątyni swojej, którą wraz z rycerstwem od napadu Szwedów obroniła, na Kalwaryę po drodze gwiazd mlecznej.

W pieśniach kołędowych Chrystus, zstąpiwszy na ziemię, jest tak blizkim chat wieśniaczych i przyrody wiejskiej, jak gdyby gdzieś tu na naszej urodził się ziemi. Cała natura przyjmuje udział w radości dnia, w którym obchodzimy święto narodzin Dziecięcia Bożego. Wraz z głosem hymnu religijnego, wlatuje do nieba prosta, serdeczna piosenka ludu, przepelniona najświeższymi czarami przyrody:

„Pośród pola jawor stoi — hej leluja!
„Na jaworze złota rzęsa — hej leluja!
„I przyleciały rajskie ptaszęta — hej leluja!
„I otrzęsły te złote rzęsy — hej leluja!
„I wybiegła nadobna dziewczyna — hej leluja!
„I rozpuściła białą zapaskę — hej leluja!
„I pozbierała te złote rzęsy — hej leluja!
„I skoczyła do złotniczenka — hej leluja!
„Złotniczenku, rzemieślniczku — hej leluja!
„Uleżże mi złoty kubek — hej leluja!
„Złoty kubek, srebrny kraj — hej, leluja!
— Któż się będzie zeń napijał — hej leluja!
— Sam Pan Jezus z aniołami — hej leluja!
„I Marya z dziewicami — hej leluja!”

Bóg przemawia do ludzi głosem przyrody, a zjawiska jej są mu posłuszne. Są też one sługami Panny Najświętszej. Na widok jej:

„Góry się zniżają,
„Wolny przystęp dają.”

Wszystkie twory przyrody hołd jej niosą, „a Jej urodzie, spaniałości, same się słońce dziwuje, swej jasności ustępuje.” Jutrzenka jest jej gwiazdą.

Ta wiara gorąca, szczerza każe oczom duchowym ludu oglądać cuda w naturze, odczuwać w niej siły nadprzyrodzone, w których moc Boga się objawia.

Miłość w pieśni ludu przystraja się w najpiękniejsze kwiecie przyrody. Bierze ona od natury wszystkie jej blaski i wonie, przemawia szumem lasów jaworowych, oddycha zapachem kwiatów na łące, odzywa się gruchaniem gołębi, śpiewem ptasząt i w wieńce stroi czoło dziewic. Językowi miłości przyroda daje swe barwy najpiękniejsze, głosy najżywsze, wonie najświeższe. Serduszko dziewczęcia, „faluje jak słow-

neczko po niebie.” Wzywa ono ukochanego temi słowami:

„Zaspiewaj, słowiku, w zielonym gajku!
„Przyjedź ty do mnie na siwym koniku.”

Kochankowie pieczą się imionami kwiatów i ptasząt, wabią się i czarują żywą mową natury:

„Kiedy będzie słońce i pogoda,
„Przychodź, Jasiu, do mego ogroda,
„Nawachasz się ziółka pachnącego,
„Napatrzysz się liczka rumianego.”

Posłuchajmy jednej jeszcze uroczej piosenki miłosnej:

„Słowiczek siedzi na klonie
„Z posepną główką na łonie,
„Kukułko! zbliż się doń śmieiej!
„Obojgu będzie weselej.
„Siedzi nasz Janek przy stole,
„Posepno jemu na czole;
„Zbliż się, Haneczku, doń śmieiej,
„Obojgu będzie weselej.”

Brak miejsca nie pozwala mi roztoczyć przed czytelnikami całego bogactwa pieśni ludowej o przyrodzie, pieśni, która rozjaśnia wszystkie wesole i smutne chwile życia wieśniaczego, która rozbrzmiewa przy wszelkich uroczystościach i obrzędach: w czasie świąt, zrekowin, wesela, obchodu wianków, sobótki, okrężnego i t. d. W pieśni tej mieszczą się nieocenione bryły najczystszej złota poezji, całe morze natchnień dla literackiej twórczości poetycznej. Płyną tam ożywe, pierwotne, czyste źródła, w których poezja po wsze wieki odświeżać się może.

* * *

A teraz na zakończenie kilka uwag ogólnych o poezji literackiej. Widzimy z powyższego, bardzo niedokładnego, dorywczego zarysu, w jak fantastycznych przełamach biegnie po jej dziejach żywe odczucie przyrody, jak podnosi się ono i opada, a jednak z biegiem czasu rośnie, powiększa się, jak rzeka bystra, wspaniała, która w oddali strumieniem z wyżyn gór wybiegła. Widzimy, że prawdziwą poezję przyrody stworzyła głab' ducha ludzkiego, nurtujące w nim źródła uczuć potężnych. Nawzajem, poetyczne oko ducha, zwrócone na zewnątrz, na zjawiska natury, wzięło z nich, dla otworzenia objawów wewnętrznych, dla widziadeł fantazyi i uczuć, olbrzymie bogactwo obrazów, dźwięków, woni i czarów. Dwa te światy wzajemnie się wzbogacają, wzajemnie pomoc sobie niosą. Im zasobniejszą jest duchowa treść człowieka, tem bogatszem i żywszem jest w nim odczucie przyrody; duchową zaś tę treść stanowią nie tylko liryczna potęga uczuć, lecz zarazem i bogactwo myśli, zasoby wiedzy przyrodniczej. Widzimy to już w starożytności u Greków i Rzymian, widzimy jaśniej jeszcze w czasach nowszych. „Cała nieskończoność” — powiada Wiktor Hugo — „tkwi w kwiatku skromnym, gdy go bada oko myśliciela.”

Wbrew tym, którzy twierdzą, że z rozwojem wiedzy znika ta nie mistyczna, która łączy ducha ludzkiego z przyrodą, że duch ten przestaje marzyć, gdy mu w naturze wszystko jasnym i określonym dokładnie się staje, łatwo byśmy się przekonali, gdyby czas nam pozwolił przyjrzeć się bliżej dziejom: poezji, że, przeciwnie, im lepiej poznajemy przyrodę, tem głębsza dla niej rodzi się w duszy naszej miłość. Zdaniem jednego z uczonych społecznym, „gdybyśmy mieli słuch więcej wykształcony, moglibyśmy w milczącym na pozór lesie podłuchać niezliczone kroki owadów najdrob-

niejszych, kołysanie się zdziebeł trawy, drzenie liści, wibracje promieni słonecznych, szmer nieprzerwany soków żywotnych, krążących w drzewach. Tak, jak jest, niedokładność zmysłów naszych zastąpić może tylko filozofja, tylko wiedza. Dzięki jej, chwytny duchowym słuchem naszym ten dreszcz siły żywotnej, który wstrząsa przyrodą i pojmujemy bogactwo harmonii, rozlanej we wszechświecie, którą poeta skupia niejako w pieśniach swoich. Bez niej nie moglibyśmy ogarnąć świata oczyma ducha, nie pojmowalibyśmy znaczenia wielkiej symfonii przyrody ze wszystkimi jej rozdźwiękami nierozwiązalnymi.”

Poezja wypłynęła z jednego źródła z wiedzą, i w początkach rozwoju ludzkości dwie te potęgi ducha ludzkiego żyły w chaosie nierozłączonym. „Czemże są” — mówi Guyau, „Rig — Veda, Bagawad — Gitá, Biblja, jeżeli nie wielkimi poematami metafizycznymi, w których zewnętrzny widok przyrody, ubarwiony przez wyobraźnię, łączy się z głęboką i smętną perspektywą na rzeczy, stojące poza obrębem świata. Parmenides i Empedokles byli poetami; Heraklit i Platon byli nimi także na swój sposób, a jednocześnie byli uczonymi. To samo można powiedzieć o Lukrecyuszu.”

Później dopiero poezja oddzieliła się od wiedzy i stworzyła sobie byt samodzielny, niekiedy nawet stawiała się jej antytezą. Obecnie nowy duch ludzkości dąży do syntezy. Poezja i wiedza, nie tracąc każda swej samodzielności, wspomagając się wzajemnie, dążą do jednego celu, do udoskonalenia ducha ludzkiego. Nauka bada i objaśnia zjawiska; poezja daje nam obraz ich piękna i głębsze odczucie ich treści wewnętrznej. Wiedza rozjaśnia widnokrąg, otwierając poezji szerszy widok na nieskończoność. „Człowiek nowożytny” — jak mówi Guyau — „widzi nieskończoność tam, gdzie starożytni znajdowali miejsce dla jednej tylko, lub kilku sfer kryształowych, otoczonych ścianami gorejącymi.”

Poeta spogląda na przyrodę wewnętrznym okiem ducha, a im ten duch jest zasobniejszym w czynniki wiedzy, które wzbogacają obrazy jego fantazyi i podniecają płomienie jego uczuć, tem podnioślejszą i tem bogatszą będzie twórczość jego, tem żywiej odczuje on tętno ducha przyrody. Wyniki wiedzy, gdy przerodzą się w uczucie, gdy staną się instynktem, natchnieniem wewnętrznym, dają poecie materiał niewyczerpany dla jego pieśni.

Obecnie poezja z wiedzą razem biegną na wyżyny gór, płyną do lodowców północy, podążają do krain pięknych, a nieznanych, a za tą poezją i za tą wiedzą idą tłumy całe i ucą się, jak poznać i ukochać czarodziejkę — przyrodę. Odczucie natury popularyzuje się, przebiega jednym potężnym dreszczem zachwyty przez dusze ludów, wlewa w nie uczucia, których nie znały dawniej, orzeźwia je i uszlachetnia. Tak! uszła chetnia! — bo od przyrody tylko płynie do serc naszych powiew nieskończoności, technienie Boga. Ona daje nam ukochanie piękna i dobra, ukochanie wszystkiego, co sercu ludzkiemu powinno być blizkiem i drogiem. Ona nas owiewa oddechem różnobarwnych łąków tej ziemi, która jest rodzicielką naszą.

K O N I E C.

Do dzisiejszego numeru „Bluszczu” dołącza się: arkusz 4 powieści, p. t. *Masarenowie*, przez Ouidę. Przekład Z. S.

Treść: Henryk Sienkiewicz (portret). — Artysta, przez Szczęsną. — Sienkiewicz o kobietach. — Kazimierz Gliński. *Wróci!* Powieść. (dokończenie). — Z Krakowa, przez M. S. — *Przyroda w poezji*, przez Antoniego Pileckiego (dokończenie). — *Na morzu*, przez Ferdynanda Hösicka (dalszy ciąg).

Dodatek obejmuje: *Masarenowie*, powieść, przez Ouidę, arkusz 4. Przekład Z. S. — Przegląd mód. 25 wzorów i robót z opisem. — Sekreta gospodarskie. — Dyspozycje obiada.

